

ADAM DZIERŻEK

PADLINA

Copyright © 2023 ADAM DZIERŻEK
All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © 2023 WYDAWNICTWO INITIUM
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: DAGMARA ŚLĘK-PAW
Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ
Projekt okładki oraz DTP: PATRYK LUBAS
Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB
Konsultacje: IZABELA NESTIORUK-NAROEK

Fotografia wykorzystana na okładce:
DAVE WALL / ARCANGEL

WYDANIE I
ISBN 978-83-67545-17-4



Wydawnictwo INITIUM
www.initium.pl
e-mail: initium@initium.pl
facebook.com/wydawnictwo.initium
Druk i oprawa: DRUKARNIA READ ME

ADAM DZIERŻEK

PADLINA

Dedykuję mojemu bratu.



KRAKÓW 2023

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Zaraz wybije południe. Chodź. Żebyś nie darł japy, że cię tu trzymamy po czasie. – Starszy sierżant sztabowy Marcin Kowal pomachał pękiem kluczy i rozejrzał się po wnętrzu celi, jakby celowo nie dostrzegając leżącego w środku więźnia. – Manatki spakowane?

Wysoki, krótko ostrzyżony mężczyzna siedział na krawędzi gołej pryczy. Jego stopy nerwowo uderzały o posadzkę, a splecione ze sobą palce dłoni zaczynały sinieć, jakby kompletnie odpłynęła z nich krew. Nie odpowiedział strażnikowi, kiwnął tylko głową w stronę foliowych toreb ułożonych w kącie.

Kowal zerknął na pakunki. Na jego twarzy wykielkował szydery uśmiech. Tylko na moment, ale już tyle wystarczyło, żeby zasiał w więźniu niepokój. Mężczyzna siedzący na pryczy zmarszczył brwi, jakby przez moment zastanawiał się, co mógł zrobić nie tak.

– No to lecimy do magazynu. – Strażnik klasnął w dłoń. – Trzeba cię rozliczyć i droga wolna.

Wyszli z celi. Masywna zasuwa huknęła po raz ostatni. Kowal upewnił się, czy aby na pewno dobrze zapiął kajdanki, po czym lekko pchnął więźnia i obaj ruszyli przed siebie.

Stukot ciężkich butów strażnika rozszedł się echem po całym korytarzu. Skuty więzień niespiesznie przebierał noga-

mi, trzymając się pół metra przed klawiszem. Z każdym jego krokiem krótki łańcuch kajdan wydawał z siebie charakterystyczny szcęk, anonsując wszystkim współosadzonym jego ostatni marsz tym korytarzem.

Nagle z wnętrza jednej z cel wydobył się hałas. Donośny. Rytmiczne stukanie, jakby ktoś siedzący w środku walił pięścią albo kubkiem w stalowe drzwi. Łup, łup, łup. Nie trzeba było długo czekać, by dołączyła kolejna cela, zaraz potem następne, aż po chwili dudnienie wypełniło cały hol. Najpierw wolne, delikatne, potem coraz szybsze, coraz cięższe, jak oklaski na meczu piłki nożnej podczas wykonywania różnego. Wystarczyło kilka sekund, by cały korytarz zaczął drżeć.

Obaj na chwilę przystanęli, chłonąc niepokojący klimat rozgrywającej się na ich oczach sceny.

– Żegnają cię, Taran – stwierdził strażnik.

Więzień posłał mu przez ramię niepewne spojrzenie. Przytłoczony hałasem, rozejrzał się dookoła i poczuł, jak miękną mu nogi. W skutych, mokrych od potu dłoniach ścisnął foliowe worki, które nie wydawały się już tak lekkie jak przed chwilą. Przełknął ślinę i spojrzał z przerażeniem w sufit, jakby bał się, że za chwilę coś na niego spadnie.

– Chodź, chłopie. – Strażnik, widząc, że więzień zaczyna się powoli cofać, pchnął go na zachętę pałką między łopatki. – Nie dawaj im satysfakcji. Ciebie za chwilę tu nie będzie, ale ja zostanę. Myślisz, że kto ich potem będzie uspokajał, jak się za bardzo podniecą, co? Niech sobie walą w te drzwi, aż im łapy podpadają, a ty ruszaj. No! Z podniesionym czołem! – Kolejny raz pchnął więźnia.

Sierżant Kowal zawsze uważał, że w więzieniu liczy się tylko jedna rzecz – godność. Raz stracona, była nie do odzyskania. W rzadkich momentach, w których czuł to dziwne swędzenie w miejscu, którego nie był w stanie podrapać, a które nazywał swoim sumieniem, starał się pouczać podopiecznych, co robić, żeby zachować twarz. Nie pokazać innym, że coś cię rusza – tylko tak można było tu przetrwać. Nieważne, czy byłeś więźniem, czy strażnikiem.

A odsiadka miała tak naprawdę tylko jeden cel. Nie chodziło o izolację niebezpiecznych jednostek od innych ani o tak zwaną resocjalizację. Za kratami nikt nie doznawał nagłych olśnień, nikt nie uświadamiał sobie, że postąpił źle. Wbrew pozorom każdy tu doskonale wiedział, co jest białe, a co czarne, na długo zanim tu trafił.

O co więc chodziło w całym tym teatrzyku, w całej tej zabawie w dobrych i złych, w policjantów i złodziei, osadzonych i strażników? Otóż o to, by pozbawić skazanych godności – tego elementarnego poczucia, które sprawia, że czujemy się ludźmi. Należy pokazać krnąbrnym jednostkom, że niczym nie różnią się od zwierząt, które zamykamy w klatkach. Że są całkowicie zależni od społeczeństwa, a społeczeństwo może zrobić z nimi, co tylko chce, jeśli się nie podporządkują.

Kowal z uwagą obserwował grymas przerażenia malujący się na twarzy więźnia, odwracającego się w jego stronę co kilka kroków – doskonale znał to uczucie. Każdy kolejny wychodzący utwierdzał go w swojej budowanej przez lata służby teorii, że strach przed nieznanym jest dużo bardziej widoczny w oczach tych, którzy opuszczali mury więzienia, niż u tych, co trafiali do

niego po raz pierwszy. Cała czekająca na zewnątrz rzeczywistość musiała być dla nich przytłaczająca, a gość idący przed nim właśnie zaczynał to sobie uświadamiać.

Przeszli kawałek pustym spacerniakiem do sąsiedniego budynku. Kowal wyjął pęk kluczy i otworzył stalowe drzwi prowadzące do kolejnego holu. Pięli się schodami po obdartej, śmierdzącej wilgocią klatce. Farba na ścianach przypominała łuszczącą się skórę, odchodzącą od murów tym mocniej, im wyżej się znajdowali.

W końcu dotarli do magazynu. Więzień musiał zdać rzeczy – dwa koce, dwa prześcieradła, poduszkę i dwa komplety ubrań – tyle zapewnia ci państwo na czas odsiadki.

Kowal odprowadził więźnia do niewielkiego okienka, za którym znudzony magazynier, bujając się na krześle, przeglądał w gazecie dział sportowy.

– Imię i nazwisko – rzucił funkcjonariusz, nie podnosząc oczu znad wymiętych kartek trzymanyh w dłoniach.

– Marek Taran.

Magazynier nie zareagował. Dopiero po chwili wstał, trzymając się teatralnie za krzyż, jakby chciał pokazać zebranym, na jak niewiarygodne poświęcenie musiał się zdobyć, żeby tylko podejść do okienka.

Otworzył opasły zeszyt i przejechał palcem w dół narysowanej nieudolnie długopisem tabelki. Miał obgryzione paznokcie, całe pożółkłe od papierosów. Zaznaczył coś ołówkiem, po czym przyjrzał się leżącym na ladzie foliowym workom, wyglądającym jak torby na śmieci. Odchylił jeden i zajrzał do środka.

– I co to jest? – zapytał, patrząc na pakunki.

Taran milczał.

– Pytam, co to – powtórzył ostrzejszym tonem, mocno akcentując każdy kolejny wyraz.

– Jest wszystko – odpowiedział więzień. – Więcej nie dostałem.

– Widzę, że jest... Tak to dostałeś?

Taran nie odpowiedział, rzucił jedynie wzrokiem na stojącego obok strażnika. Kowal uniósł barki, jakby chciał powiedzieć „radź sobie sam”, po czym mrugnął porozumiewawczo do magazyniera.

– Tak to dostałeś? – Funkcjonariusz powtórzył pytanie. – Czy ładnie złożone było? W kosteczkę?

Taran nie odpowiadał, patrzył tylko na strażnika beznamiętnym wzrokiem. Wiedział, że chcą go upokorzyć, po raz ostatni, gdy wciąż mają szansę.

– Mnie się wydaje, że było złożone. Wiem, bo sam wam te manatki składam. Złożyć! Tak nie przyjmę – rozkazał, po czym wskazał krzesło w poczekalni na korytarzu.

Taran odszedł na bok, wysypał wszystko na krzesło, kucnął i rękami wciąż zakutymi w kajdanki zaczął składać koce. Poczul się słaby i bezbronny. Pierwotny instynkt, zakorzeniony głęboko w naszych mózgach, potrafił naprawdę szaleć w takich sytuacjach. Ten Tarana właśnie bił na alarm, że w takiej pozycji jest łatwym celem – ofiarą podatną na atak z każdej strony. Pocił się, serce wybijało niezdrowy rytm, przypominający wojenne bębny. Był pewien, że to teraz. Że teraz konsekwencje podjętych wyborów zbiorą swoje żniwo.

Tylko że nic się nie wydarzyło... Nerwowo dokończył składanie. Wstał i odetchnął głęboko, karcąc się w duchu za te ciągle ataki paniki. Po chwili wrócił do okienka i przekazał rzeczy funkcjonariuszowi.

– No, teraz jest po bożemu. – Pracownik magazynu uśmiechnął się szyderczo, wprawiając w falujący ruch tłuste policzki, po czym mrugnął do stojącego obok Kowala. Przejął torby i zaniósł je w głąb pomieszczenia. Wrócił, trzymając w ręku kolejną reklamówkę, inną, przezroczystą. Wyjął dzin-sy, sweter, lekką kurtkę i parę butów. Wszystko wyglądało na tanie i kiepskiej jakości.

– To nie moje – powiedział Taran, grzebiąc w nowych ubraniach. – Przyszedłem w innych.

– Taką dobrą masz pamięć, co? – Magazynier spojrzał na listę. – Pewnie, że nie twoje. Ile siedziałeś?

– Pięć.

– Nooo, to twoje już dawno zutylizowane. Wszystko się zgadza. Powyżej dwóch lat ubrań nie trzymamy. Te masz od państwa. Na dobry start. – Podsunął pakunek w stronę więźnia.

Taran przypomniał sobie skórzaną kurtkę, w której tu trafił. Czarna, ciężka, praktycznie niezniszczalna. Wciąż na samo jej wspomnienie potrafił wyczuć zapach tytoniu i taniej whisky – zapach ojca. Rzucił strażnikowi ciężkie spojrzenie. Wiedział, że jego skóra nie została zutylizowana, po prostu zmieniła właściciela.

Westchnął głęboko i zebrał z lady ubrania. Funkcjonariusz otworzył kolejny worek, tym razem mniejszy. Wyłożył

na ladę portfel, dokumenty, zegarek, zapalniczkę i mały składany scyzoryk z wygrawerowanymi literami A.T.

Taran omiółt wszystko wzrokiem.

– Fajki jeszcze miałem – burknął.

– Ano miałeś – odparł strażnik, po czym rozsiadł się na krześle i wrócił do czytania gazety.

Kończący wyrok osadzony poupychał rzeczy osobiste w kieszeniach spodni i podniósł leżącą przed nim stertę ubrań.

Przeszli dalej. Kowal go rozkuł i wepchnął do małego pokoju obok magazynu. Marek przebrał się w to, co przed chwilą dostał, i już w cywilnych ciuchach ruszył ponownie za strażnikiem. Starszy aspirant sztabowy odpiął z paska krótkofalówkę.

– Otworzyć mi wyjście na główną bramę – polecił przez radio. – Zaraz będę przechodził z więźniem.

Ostatnim przystankiem na drodze do wolności okazała się kasa. Pracownik w okienku zapytał Tarana o nazwisko, po czym sprawdził coś w komputerze. Wyłożył na blat dokładnie trzy złote i czterdzieści groszy. Szczęk drobnych monet rozszedł się echem po całym korytarzu.

– Kasa na tramwaj do miasta – powiedział. – Masz się gdzie zatrzymać? Jeśli nie, to...

– Brat mnie przyjmie – odparł Taran i zgarnął monety na otwartą dłoń, po czym pozwolił im zsunąć się do kieszeni spodni. Podał adres, pod którym będzie mieszkał, i ruszył dalej.

Razem ze strażnikiem, eskortującym go w drodze do wolności, stanęli naprzeciwko masywnych drzwi wyjściowych.

Taran patrzył prosto przed siebie. Kowal coraz bardziej nerwowo rozglądał się dookoła, zerkając co chwilę na zegarek.

– Były zakłady, wiesz? – rzucił strażnik, teraz też wlepiając wzrok prosto w stalowe drzwi. – Ludzie zastanawiają się, kiedy znowu do nas wrócisz...

Marek nie odpowiedział. Zaczął lekko dygotać. Tutaj, w śluzie prowadzącej do wyjścia, dało się już wyczuć chłód panujący na zewnątrz, a ubranie, które dostał, zdałoby może egzamin wiosną, ale nie późną jesienią.

– Ci co bardziej optymistyczni dają ci cztery miesiące, ale są i tacy, co twierdzą, że wrócisz za miesiąc – ciągnął sierżant. – Kto będzie najbliżej, zgarnia całą kwotę. Chcesz wiedzieć, ile ci dałem?

– Pierdol się, Kowal – odparł Taran, nie odklejając oczu od drzwi. Czekał już tylko na szcęk otwierającego je zamka, nic więcej się nie liczyło.

– Obstawilem, że już do nas nie wrócisz.

Stali przez chwilę w ciszy. Wiatr świszczwał, desperacko próbując wcisnąć się do środka przez szpary w drzwiach.

Za ich plecami rozległy się kroki jednego ze strażników. Kowal odwrócił się i pozdrowił kolegę skinieniem głowy. Zaczął pogwizdywać marsz imperialny z *Gwiezdnych wojen* i przestał dopiero, gdy drugi strażnik się oddalił.

Znowu zostali sami.

– Nie żebym aż tak w ciebie wierzył. – Klawisz odezwał się ponownie. – Na tyle, na ile cię poznałem, nie widzę w tobie szansy na resocjalizację. Tacy jak ty zawsze tu wracają. –

Podrapał paznokciami po policzkach. – Po prostu ja wiem coś, czego nie wiedzą inni...

Marek spojrział na strażnika.

– Mam dla ciebie wiadomość, Taran. Ale powiem ją tylko raz, więc lepiej słuchaj uważnie. Gotowy? – Spojrział na zdezorientowanego już prawie byłego więźnia, ale nie doczekał się potwierdzenia. Nabrał więc powietrza w płuca i kontynuował: – Sęp już nad tobą krąży. Jest głodny. Wiesz, czym żywią się sępy?

Taran spojrział strażnikowi prosto w oczy i zamrugał, jakby coś go właśnie zamroczyło. Wyraz ulgi i zniecierpliwienia, wywołany rychłym zwolnieniem, zniknął, zastąpiony głębokim zdumieniem. Strach pełzał powoli gdzieś po zlanym zimnym potem karku, a zaskoczony mózg analizował konsekwencje tego, co właśnie usłyszał.

Pytanie, które zmieniło wszystko.

Zerknął na strażnika, ten wyglądał, jakby nic się nie wydarzyło. Stał sobie obojętnie, cicho pogwizdując.

Taran otworzył delikatnie usta.

– C-co powiedziałeś? – zapytał, z trudem wypluwając słowa. Poczuł, jak wilgoć zbiera mu się w okolicach pasa, tworząc krople spływające pod bieliznę. Pociemniało mu w oczach. Nogi zmiękły, jakby ktoś wyjął z nich baterie.

– Powiedziałem, że nie powtórzę drugi raz.

Obaj na powrót wbili wzrok w wyrastające przed nimi drzwi. Kowal ostatni raz zerknął na zegarek.

– Równo dwunasta! Jesteś wolny. Leć! – Otworzył drzwi. Chłodne powietrze wraz z promieniami słońca dostały się do

środku. Marek wciąż stał, jakby wahał się, czy postawić stopę poza murami więzienia.

– No idź, bo pizga. – Strażnik pchnął go w plecy, wyrzucając na zewnątrz.

Skonsternowany ruszył przed siebie, powoli stawiając kroki. Cały czas czuł na sobie wzrok strażnika. Dotarł do ulicy.

Był wolny.

– Miło było cię poznać, Taran! – usłyszał głos Kowala, dochodzący zza pleców. – Mam nadzieję, że zrobisz to, co należy! I to szybko!

Drzwi się zatrzasnęły. Marek odwrócił się po raz ostatni i spojrzał na więzienne mury. Gdy przekraczasz je po raz pierwszy, wydają się piąć do samego nieba, przytłaczające, niemal wszechobecne. Wychodząc, czuł się jak dorosły obserwujący budynek starego przedszkola, do którego kiedyś chodził. Teraz to ulica i rozciągające się za nią miasto wydawały się bardziej przerażające.

Sięgnął do kieszeni i ścisnął otrzymane monety w spoczonej dłoni. Trzy czterdzieści. Cena pojedynczego biletu na tramwaj. Ostatnim razem kwota ta wystarczyła na jego ulubione piwo w monopolowym po drugiej stronie ulicy.

Jesteś wolny, możesz jechać, dokąd chcesz.

Westchnął.

ROZDZIAŁ DRUGI

– I co, masz zamiar się do mnie teraz nie odzywać? – zapytał ciemnowłosy mężczyzna w okularach i pomiętej koszuli. Próbował przepchnąć się do kuchenki gazowej w kącie, nie uderzając się przy okazji o krojącą warzywa żonę.

Nie doczekał się odpowiedzi. Nalał wody i wstawił kawiarkę na palnik. Pobudzający zmysły zapach rozszedł się po całej kuchni.

– To mój brat – kontynuował, zbity z tropu milczeniem żony. – Przecież rozmawialiśmy już o tym setki razy. Chcesz, żebym go wygonił na ulicę? Zostanie z nami tylko przez jakiś czas, dopóki nie stanie z powrotem na własnych nogach. Chyba możesz...

– A czy on kiedykolwiek stał na własnych nogach? – odezwała się w końcu kobieta, krojąc marchewkę coraz bardziej agresywnymi ruchami.

Mężczyzna przełknął ślinę ze strachu, patrząc na szalejącego na drewnianej desce nóż.

– Wiesz, o co mi chodzi – odpowiedział. – Zaraz na pewno znajdzie sobie jakąś pracę, może się z kimś zwiąże i...

– No, w to, że zaraz znajdzie pracę, to akurat nie wątpię – odparła kobieta. – Pytanie, jak szybko przez tę pracę wyląduje znowu za kratkami. Zwiąże mówisz? Z kim? Z tego, co mi

wiadomo, to kurwy nieczęsto zakochują się w klientach. – Nóż huknął o deskę, przecinając niewinne warzywo na pół.

Nastał zdający się trwać w nieskończoność moment ciszy. Wybawieniem okazała się dopiero kawa w kawiarni, która zaczęła charakterystycznie bulgotać, wystrzeliwując w górę mgiełkę pary wodnej. Wysoki mężczyzna o twarzy pokrytej rzadkim zarostem wyłączył gaz. Kobieta wróciła do krojenia warzyw.

– Po prostu nie chcę, żeby ktoś taki miał wpływ na Maćka – rzuciła po chwili. – I tak jest ciężko. Kontakt z wujkiem kryminalistą w niczym tu nie pomoże. Wiesz, że jest w takim wieku, że go to jara? Przestępcy, zbrodnie, napady... te wszystkie sprawy. Widziałam, w co gra na komputerze. – Wskazała głową pokój na końcu korytarza. – Kiedyś z dumą pokazywał mi, jak strzela do prostytutek... Do prostytutek, Paweł. To twoje zadanie, kontrolować, co on tam robi!

– Marek nie jest kryminalistą... A gry to tylko gry. W jego wieku oglądałem, jak Rambo wyrywa wrogom flaki, wyrosłem na mordercę?

– To siedmiolatek, Paweł! Wiesz przecież, że z nim jest inaczej. Chłonie wszystko jak gąbka. Ale czekaj... Co powiedziałeś? Twój brat nie jest kryminalistą? O proszę, to coś nowego. To dlaczego twoim zdaniem siedział, co? Słucham.

– On... On po prostu się pogubił. To wszystko.

Mężczyzna spojrział na zegarek, powodując tym kolejną niezręczną ciszę. Mijało południe. Kobieta wrzuciła pokrojone warzywa do gotującej się wody.

– Niedługo będzie – kontynuował mąż. – Mogłabyś chociaż spróbować być dla niego miła?

– Nie będę nic ci obiecywać. Nic nie jestem mu dłużna. Ani jemu, ani tobie. Jeśli nie będzie zachowywać się przy dziecku jak człowiek, to nie licz na to, że będę milczeć. Wyleci stąd na kopach. Zawołaj Maćka – poleciła zobojętniałym tonem. – Powiedz, żeby szykował się już do obiadu.

Mężczyzna chwycił kubek z kawą i ruszył do pokoju syna. Zapukał i nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi.

Pusto. Gdzieniedzie porozrzucone ubrania. Brudne skarpetki na niepościelonym, skotłowanym łóżku. Paweł westchnął, pociągnął łyk kawy, po czym obrócił się i spojrzał na znajdujący się nad drzwiami pawlacz. Stanął na palcach i zapukał w drzwiczki.

Cisza.

Zajrzał do środka. Siedmioletni chłopak siedział skulony ze słuchawkami na uszach. W dłoniach trzymał przenośną konsolę. Miał brązowe kręcone włosy i olbrzymie błękitne oczy, w których odbijał się cały ekran urządzenia, pozwalając dokładnie zobaczyć, w co gra. Ramiona miał długie i chude jak u patyczaka. Rósł zbyt szybko, żeby masa ciała mogła za tym nadążyć. Zaabsorbowany grą, nawet nie spojrzał w stronę ojca.

Mężczyzna zdjął chłopakowi słuchawki.

– Nie za duży jesteś, żeby tu ciągle włazić? – zapytał.

– Teraz łatwiej jest mi się tu wspiąć – odparł chłopak, nie odrywając oczu od konsoli. – Kiedyś musiałem podsuwać fotel.

– Dziwne, że ta szafka się jeszcze nie zawałiła. Ciesz się, że jesteś jeszcze szczupły. Mama woła na obiad, leć umyć ręce.

– Wujek już jest?

– Jeszcze nie, ale powinien niedługo przyjść.

– Nie pamiętam go. – Chłopak wbił zamyślony wzrok w kolana. – On mnie pamięta?

– Mówiłem ci już, że tak. Miałeś dwa lata, nie mogłeś go zapamiętać.

Chłopiec powoli wytoczył się z pawlacza, obie stopy oparł o framugę drzwi i tkwiąc w rozkroku, zaczął zsuwać się na podłogę. Stanął na ziemi, wpatrując się w wysokiego jak wieża ojca. Mężczyzna uśmiechnął się, po czym przejechał mu dłonią po włosach, rozczochrując je.

– Weź, tato. – Chłopiec starał się na powrót ułożyć fryzurę.

– Leć do łazienki i widzimy się w kuchni.

Rozległo się pukanie. Ciche, jakby nieśmiałe. Paweł ruszył do drzwi, przechodząc obok żony. Przez całą drogę czuł na sobie ciężar jej spojrzenia. Poczul zimno, gdy spróbował zaciskać swoje lodowate dłonie. Nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, jak bardzo był zestresowany. Otworzył drzwi.

Stał przed nim młody, niespełna trzydziestoletni mężczyzna. Był gładko ogolony, wysoki i dość wysportowany. Nie był wielkim gościem, ale żaden mięsień na ciele nie wydawał się sztucznie napompowany albo przypadkowy – efekt więziennych treningów przeprowadzanych na kawałku podłogi w celi z zerowym sprzętem. Jasne włosy miał ostrzyżone bardzo krótko, na tyle, że można było dostrzec skalp. Łuki brwiowe, pocięte bliznami, wyglądały jak pasy na jezdni. Tuż pod prawym okiem biegła głęboka blizna sięgająca aż do policzka.

Rozglądał się po klatce zawstydzonym wzrokiem, jakby za wszelką cenę chciał uniknąć kontaktu wzrokowego.

– Cześć, Paweł – rzucił po chwili, wpatrując się w posadzkę.

Gospodarz uśmiechnął się szeroko, po czym rozłożył ramiona, czekając na uścisk.

– Dobrze cię widzieć, Marek.

– Ciebie też, bracie – rzucił były więzień, odwzajemniając przywitanie.

– Wchodź do środka, nie stój tak.

Rozerwali braterski uścisk i weszli na korytarz. Marek rozejrzał się po mieszkaniu. Było bardzo czysto, wszystko dookoła zostało wykończzone na podwyższony standard. Z kuchni dobiegał go przyjemny zapach domowego obiadu i świeżo mielonej kawy, ostatni raz czuł taki wiele lat temu, gdy matka jeszcze żyła. Więzienne jedzenie w ogóle nie miało zapachu. Oszczędzano, na czym się dało, w tym na przyprawach, a kawa z granulatu zawsze pachniała mu bardziej zastanym potem niż czymś, co nadaje się do spożycia.

– Kamila zrobiła rosół i schabowe – rzucił gospodarz. – Bardziej domowo się już chyba nie da, no nie? Za chwilę siadamy do stołu. Rozbieraj się i wchodź śmiało. Jak się czujesz? – W pierwszej chwili chciał zadać pytanie „Co u ciebie?”. Cieszył się, że zdążył się powstrzymać.

– Dobrze – odparł Marek, zdejmując kurtkę, która podczas ściągania rozerwała się pod lewą pachą. Dźwięk szarpanego materiału rozszedł się po korytarzu. „Prezent od państwa, kurwa mać”, pomyślał, po czym spojrział zrezygowany na brata.

– Nie przejmuj się, załatwimy ci nową. Co się stało z tą skórą, którą nosiłeś? Tą po...

– Zutylizowana.

– Przykro mi.

– To tylko kurtka – odparł i poczuł, jak zaciska mu się gardło. Traktował ją jak trofeum. Ojciec kochał tę kurtkę, a on czuł olbrzymią satysfakcję z tego, że mu ją odebrał.

Weszli do kuchni. Kobieta odeszła od kuchenki, wytarła ubrudzoną dłoń w ścierkę, po czym wyciągnęła ją w stronę gościa.

– Cześć, Marek, dobrze wyglądasz – powiedziała, siłąc się na sztuczny uśmiech.

– Dzięki, Kamila. Ty też, jak zawsze zresztą.

– Siadaj, za chwilę będziemy jeść.

– A gdzie mały? – zapytał Marek.

W drzwiach stanął kędzierzawy chłopiec. Przyglądał się rozmawiającym dorosłym, ale dopiero teraz przykuł ich uwagę.

– Śmiało, Maciek. – Ojciec przywołał go skinieniem dłoni. – Podejdz i przywitaj się z wujkiem.

Chłopiec, wlepiając wzrok w posadzkę, ruszył przed siebie. Człapał nogami, jakby niechętnie stawiał każdy kolejny krok. Stanął przed dorosłymi na środku kuchni i podniósł głowę, nieśmiało spoglądając na wujka.

– Cześć, młody – rzucił Marek, po czym kucnął, zrównując się z bratankiem. – Wyglądasz zupełnie inaczej, niż cię zapamiętałem. Normalnie dorosły facet...

– Nie pamiętam cię – powiedział chłopiec.

– Nic nie szkodzi, nie musisz. Ja cię pamiętam doskonale. Wyobrażałem sobie, jak rosteś, wiesz?

– W więzieniu?

Nastąpiła chwila ciszy. Matka chłopca bacznie przyglądała się rozmowie. Marek podniósł na chwilę wzrok, uderzając w jej spojrzenie jak w betonową ścianę.

– Tak – odparł. – W więzieniu. Zapomniałbym, że mam tu coś dla ciebie.

Wyjął z kieszeni czekoladowe jajko z zabawką w środku. W kieszeni przez przypadek zawinęło się w zwitek papieru, który wyleciał na podłogę – mandat za brak biletu w komunikacji miejskiej. Podniósł głowę i spojrzał na kobietę, która przewróciła tylko teatralnie oczami.

Bratanek wziął prezent w dłoń.

– Nie wiem, czy dzieci w twoim wieku lubią takie rzeczy – kontynuował, obserwując reakcję chłopca. – Ja i twój ojciec szaleliśmy za czymś takim.

– Jest w porządku.

– Co się mówi? – zapytała stanowczo matka, przyciskając małego wzrokiem do podłogi.

– Dziękuję – odparł Maciek, tonem lokującym odpowiedź gdzieś pomiędzy pytaniem a stwierdzeniem.

W końcu całą rodziną usiedli przy stole. W ciszy, przerywanej od czasu do czasu szcękaniem sztućców i talerzy, Marek czuł się cholernie wyobcowany. Jakby ktoś wyciął go z artykułu o poszukiwanym przestępcy i wkleił do czyjegoś rodzinnego zdjęcia. Drętwa atmosfera sprawiała, że zastanawiał się nad wszystkim, co robi. Czy kroi tego cholernego kotleta we właściwy sposób? Czy nie żuje zbyt głośno i czy jego szuranie krzesłem nie porysuje paneli? W więzieniu cały ten obiadowy

savoir-vivre poszedł w odstawkę. W ciasnych celach jadło się gdzie popadnie i jak popadnie, zazwyczaj siedząc na pryczy.

Cisza przy posiłku była jak zdające się trwać w nieskończoność tortury, tym bardziej że wiedział, że to wszystko z jego powodu. Gdyby go tu nie było, rodzinka na pewno śmiała się i dyskutowała w najlepsze.

Spojrzał na małego, bardziej rozgrzebującego ziemniaki i kaleczącego mięso niż rzeczywiście jedzącego. Był tak chudy, że leżące na talerzu kalorie byłyby dla jego rosnącego ciała jak zbawienie. Skóra zdjęta z brata, a to znaczy, że również i z niego. Gdzieś wśród tych delikatnych rysów dało się też wypatrzeć geny należące do dziadka. Taran miał nadzieję, że malec odziedziczył po tym starym sadyście tylko wygląd. Ich spojrzenia w końcu się spotkały. Chłopiec wpatrywał się w wujka, jakby w głowie kłębiły mu się miliony pytań, których rodzice zabronili mu zadać. Nikt nie chciał poruszać przy stole tematu odsiadki.

– Bardzo dobry obiad – zagaił w końcu Marek, przeżuwając schabowego. Chciał jakoś wybrnąć z tego dziwnego pojedynku spojrzeń, jaki prowadził z nim bratanek. Mały sprawał, że czuł się dziwnie niekomfortowo. – Dzięki, że pozwoliliście mi się na jakiś czas u was zatrzymać. Nie będę wam za długo siedział na głowach, obiecuję. Jutro pójdę szukać pracy.

– Tak? Masz coś na oku? – zapytał Paweł.

– Właśnie, Marek, też jestem ciekawa – dodała Kamila.

– Może spróbuję czegoś w handlu? – Uśmiechnął się, mając nadzieję, że ten żart rozluźni nieco atmosferę. Nie rozluźnił. Chociaż Kamila ewidentnie zrozumiała kontekst,

to wcale nie było jej do śmiechu. Marka zlał zimny pot. Odchrząknął. – Normalną pracę, jeśli o to pytasz. Może zacznę wykładać towar na półki, cokolwiek, byle się gdzieś zaczepić. Potem przecież jakoś już pójdzie, nie? Musi pójść...

– Ciekawe – odparła bratowa tonem wskazującym na absolutny brak wiary.

– Co, myślisz, że sobie nie poradzę?

– Nic takiego nie powiedziałam.

– Możemy zmienić temat? – włączył się Paweł. – Marek, może skoczmy potem na jakieś zakupy? Ta twoja kurtka... Przydałyby ci się jakieś nowe ciuchy.

– Pewnie... Daj mi tylko najpierw trochę zarobić.

– Daj spokój, nie przejmuj się takimi szczegółami. Ja stawiam.

– Poradzę sobie – odparł szorstko Marek, nie podnosząc wzroku znad talerza.

– Wiem, ja tylko... – Paweł zamilkł w pół zdania. Nie wiedział, jak dalej pociągnąć tę rozmowę, żeby nie zabrnąć w punkt, w którym jego brat po prostu wstaje od stołu i wychodzi. Na tym etapie było już jasne, jak bardzo ciąży mu jego aktualna sytuacja. Nagle stracił przecież regularne posiłki i dach nad głową, zderzył się z rzeczywistością, dalece bardziej brutalną niż ta więzienna. To musiało być ciężkie.

Nastał kolejny moment długiej przerażającej ciszy. Tym razem jedynym przerywnikiem było ciągle wiercenie się Maćka.

– Wujku, czemu trafiłeś do więzienia? – zapytał w końcu chłopiec, najwyraźniej nie mogąc już wytrzymać. Chwilę po tym, jak zadał to pytanie, dało się zauważyć uchodzące

z niego powietrze, jak z rozwiązanego balonika. Mały poczuł ulgę, nie było co do tego wątpliwości. Z mimiki dzieci można czytać jak z otwartej księgi, każda emocja wygląda wręcz podręcznikowo.

– Maciek! – skarciła go matka.

– W porządku. – Marek uspokoił kobietę gestem dłoni, krtusząc się przez chwilę kawałkiem mięsa, który stanął mu w krtani. Ucieszył się, że ktoś w końcu zauważył tego słonia stojącego w salonie. – Mogę powiedzieć, nie mam z tym problemu. – Spojrzał na Maćka. – Robiłem złe rzeczy, niezgodne z prawem. Coś, czego nigdy nie powinienem był robić. Zadałem się ze złymi ludźmi i poniosłem konsekwencje. – Miał nadzieję, że jego ton brzmi moralizatorsko, czym załapie sobie plusa u bratowej.

– Zabiłeś kogoś? – Maciek zapytał prosto z mostu.

– Maciek! – ponowiła kobieta.

Marek opuścił głowę, wpatrywał się przez chwilę w niedokończoną porcję mięsa na talerzu. Nagle jakby stracił cały apetyt.

– Nie, młody, nie zabiłem... – odparł zrezygnowany.

– Uciekłeś z więzienia?

– Nie, oczywiście, że nie. Miałem karę i musiałem ją odbyć. Zostałem tam tyle, ile mi kazali, nie da się stamtąd uciec. To nie jest jak na filmach z Clintem Eastwoodem.

– Z kim?

– Z Clintem... Ech, nieważne. Nie da się uciec i tyle. Nikt nawet nie próbuje. Karę trzeba odbyć zawsze, gdy się na nią zasłużyło. Czemu w ogóle pytasz, czy uciekłem?

– Mama mówiła, że wyszedłeś dziesięć lat wcześniej, niż powinieneś.

Marek obrzucił kobietę ciężkim spojrzeniem.

– Pozwolili mi wyjść wcześniej – odparł po chwili, dłu-
biąc widelcem w ziemniakach. – Bo... Bo byłem greczny
i... i... postanowiłem powiedzieć policji o innych ludziach
robiących złe rzeczy. Tak się robi... Zrobiłem coś dobre-
go...

– Oni też poszli do więzienia?

– Tak, w większości...

– Dosyć tematu więzienia! – krzyknęła kobieta. – Ma-
ciek, jak zjadłeś, to marsz do pokoju odrabiać lekcje! Grze-
biesz w tych ziemniakach, jakbyś skarbów szukał!

– Ale...

– Powiedziałam!

Chłopiec ze spuszczoną głową udał się do pokoju. Doro-
śli zostali sami przy stole.

– Zrobię nam kawę – rzucił Paweł, po czym podszedł do
kuchenki.

– Chłopak jest ciekawy świata – rzucił Marek. – Nie po-
winnaś zabraniać mu pytać. Lepiej, żeby wiedział, czym jest
więzienie i za co można tam trafić. Ja dużo bym dał, żeby ktoś
opowiedział mi o nim, gdy byłem jeszcze mały. Może sprawy
inaczej by się potoczyły...

– Ostatnie, co powinieneś robić, to mówić mi, jak mam
wychowywać własne dziecko – odparła kobieta.

Nastąpiła cisza. Po chwili intensywny zapach kawy wypeł-
nił całą kuchnię.

– Cieszę się, że zdecydowałaś się zeznawać – włączył się Paweł, kierując rozmowę na inne tory. – Myślę, że gdybyś został tam na piętnaście lat, to byłoby ci dużo ciężiej wrócić do normalnego życia. Mnie też byłoby dużo trudniej... Martwiłem się... Brakowało nam ciebie, wiesz? – Mężczyzna spojrział na żonę, jej wzrok zdawał się przyciskać go do ściany, jak młot uderzający rytmicznie w gwóźdź. Pytanie, które kazała mu zadać, wciąż tkwiło uwięzione głęboko w gardle. Chciał z nim poczekać na odpowiedni moment.

Marek przyglądał się przez chwilę raz bratu, raz jego żonie. Nienawidził, gdy ktoś wymieniał milczące spojrzenia w jego obecności, zwłaszcza takie, które ewidentnie dotyczyły jego.

– Widzę, że Paweł nie ma jaj cię o to zapytać, więc ja to zrobię – powiedziała po chwili Kamila, odkładając sztucce. – Czy przez to, że zdecydowałaś się sprzedać policji tych gangsterów, grozi ci teraz jakieś niebezpieczeństwo? Albo inaczej... Czy to bezpieczne, żebyś u nas mieszkał? Czy nam coś teraz grozi? Maćkowi?

Marek opuścił głowę. Zbierał myśli w słowa.

– Nie – odpowiedział. – Nic wam nie grozi, ale będę musiał porozmawiać z paroma chłopakami, wyjaśnić kilka spraw. Paweł – zwrócił się do brata – możesz pożyczyć mi telefon? Muszę zadzwonić. Myślę, że im szybciej to zrobię, tym lepiej. Będę dmuchał na zimne.

– Aha. Czyli jednak... – odezwała się Kamila. Samym tonem głosu mogłaby schładzać drinki. – Mówiłam, Paweł... Kurwa, mówiłam, że jest bardzo zły pomysł.

– Zły pomysł? – zapytał Marek. – W sensie to, żebym się u was zatrzymał. Kamila, naprawdę nic wam nie grozi... Ja...

– Trzymaj. – Paweł przekazał bratu smartfon. – To mój zapasowy, specjalnie dla ciebie kupiłem nową kartę. Używaj do woli, dopóki nie skombinujemy ci własnego. Zadzwoń tam, gdzie chcesz, i zostaw nas na chwilę z Kamilą samych, dobrze?

– Dzięki, wyjdę z tym na zewnątrz. – Marek rozejrzał się po kuchni. – Masz może zapalić?

– Niestety. Rzuciłem.

Kamila głośno westchnęła, po czym wyjęła paczkę papierosów z kuchennej szuflady i walnęła nią o stół.

– Dzięki. – Podniósł opakowanie, było nienapoczęte, wciąż owinięte folią. Siłował się przez chwilę z otwarciem, po czym sięgnął do kieszeni po scyzoryk i przeciął nim plastik.

– No proszę, wciąż go masz. – Paweł przyglądał się nożykowi. – Zastanawiałem się, gdzie zaginął, a on cały czas był z tobą.

Marek pomachał w dłoni ostrym narzędziem.

– To teraz jedyne, co nam po nim zostało – powiedział. – Kurtkę zabrali, skurwysyny... Możesz go zatrzymać. – Uderzył scyzorykiem o blat stołu. – Najlepiej go zniszcz, wątpię, żebyś chciał przekazać go dalej. – Spojrzał w stronę drzwi bratanka. – Ja chyba jestem gotów uwolnić się od jakiegokolwiek pamięci o nim... Pójdę zapalić, zadzwonię i zaraz wracam.

– Wrócimy do tej rozmowy! – krzyknęła za nim kobieta.

* * *

Wyszedł przed blok. Nerwowo oklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki, po czym podpałił papierosa. Zdziwił się, że ta, którą kupił za jakieś pięćdziesiąt groszy wiele lat temu, wciąż działa. W końcu przesiedziała z nim cały wyrok, pięć lat w więziennym magazynie. Nie był pewien, czy w przeciwieństwie do niej jest w stanie wykrzesać z siebie jeszcze jakiś ogień.

Zaciągnął się nerwowo, wydychając powietrze nosem, i rozejrzał dookoła. Rodzinna okolica, dokładnie taka, jaką ją zapamiętał. Jakby czas na te pięć lat stanął w miejscu.

Cały czas myślał o tym, co powiedział mu strażnik, a Kamila swoim pytaniem tylko podbiła mu i tak wysokie ciśnienie. „Oczywiście, że nic nikomu nie grozi”, pomyślał, uspokajając się w duchu, po czym przeklął w myślach sadystyczny humor sierżanta Kowala. Wyjął telefon brata i wybrał numer, który znał na pamięć. Po krótkiej chwili ktoś odebrał.

– Słucham? – odezwał się męski głos w słuchawce.

– Cześć, Welenc, mówi Taran.

– Nie powinieneś do mnie dzwonić.

– Dziś wyszedłem i...

– Wiem, że wyszedłeś. Spodziewałem się, że będziesz dzwonił. Tak jak mówiłem, nie powinieneś...

– Muszę z tobą porozmawiać. O czymś, co usłyszałem...

– Usłyszałeś to, co usłyszałeś, mnie w to nie mieszaj. Nie dzwoń więcej...

– Czekaj! Załatw mi rozmowę z szefem. Chcę mu wszystko wyjaśnić. To, co się stało, to nie było tak, jak mówili w mediach. Zeznawałem, ale nie sprzedałem naszych. Uwierz mi.

– Co to zmieni?

– Co?

– Jak ci uwierzę. Co to zmieni? To już koniec, Taran. Wiesz, co robić. Mogę ci tylko doradzić, żebyś zrobił to szybko, zanim ktoś ucierpi.

– O czym ty mówisz?

– Wiesz o czym.

Marek poczuł paskudny skręt w żołądku.

– Niczego nie mam zamiaru robić, muszę pogadać z szefem. Pomylili się co do mnie. To nie jest legenda? Z tym Sępem?! Welenc?! – zorientował się, że krzyczy, więc zaczął szeptać. – Słyszałem, że to bajka, którą opowiada się nowym, żeby nie dezerterowali.

– Nigdy więcej do mnie nie dzwoń.

– Czekaj! Kurwa, Welenc! Halo?

Spojrzał na trzymany w dłoni telefon, rozmówca się rozłączył. Przez chwilę miał wrażenie, że ktoś oddzwania, ale dotarło do niego, że wibracje powoduje nie urządzenie, a jego trzęsąca się ręka.

– Kurwa! – krzyknął, zwracając na siebie uwagę kilku koneserów taniego wina, degustujących trunków na pobliskiej ławce. Przyglądali się całej jego rozmowie, jakby byli kryminaliści drący się do słuchawki stanowili w okolicy standardowy element krajobrazu. W ostatniej chwili powstrzymał się przed ciśnięciem telefonem o beton. Drżącą dłonią sięgnął po kolejnego papierosa, wypalił go w ekspresowym tempie, po czym wrócił na górę.

Sam nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Jakoś do końca nie potrafił uwierzyć, że może go teraz spotkać coś złe-

go. Wcale nie chciał tu być. Narazić się na nieustanne oceniające spojrzenia i komentarze bratowej. Problem polegał na tym, że nie miał pieniędzy ani dokąd iść, żeby zaszyć się gdziekolwiek do czasu, aż świat zapomni, że jest na wolności. Nie miał już nikogo poza starszym bratem, który i tak musiał nadstawiać karku, żeby mógł się do nich na jakiś czas wprowadzić. Zawsze to robił... Zawsze nadstawiał za niego karku.

Taran wszedł do kuchni. Brat z żoną dalej siedzieli przy stole, tak jak ich zostawił. Wyczuł w powietrzu zapach właśnie przebytej kłótni. Nigdy nie rozumiał decyzji brata, żeby związać się z Kamilą. Tuż przed odsiadką powiedział mu, co o niej sądzi, że wyszł z chłopa całą chęć do życia i posiadania własnego zdania. Teraz Paweł posłał mu jedynie spojrzenie zbitego psa.

– I co? – zapytała Kamila. – Załatwiłeś przez telefon to, co trzeba?

– Nie mogłem się dodzwonić, będę się musiał wybrać do kogoś osobiście.

Kobieta wstała i bez słowa wyszła do drugiego pokoju. Przez chwilę trwali z bratem już tylko we dwójkę w tej gęstej atmosferze, jaka pozostała w kuchni.

– Dzisiaj chcesz już gdzieś jechać? – zapytał w końcu Paweł.

– Muszę coś załatwić...

– Wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć. Wolę wiedzieć, bo jak inaczej miałbym ci pomóc? Coś ci grozi?

– Usłyszałem groźbę jeszcze w więzieniu... Nie wiem, na ile poważnie ją traktować.

– Co to za groźba?

– Coś o tym, że krążą nade mną sępy... Kurwa, nie pamiętam. Jakaś głupota.

– Myślisz, że jest realna?

– Co?

– No groźba.

– Co ty... Na pewno nie. Chcieli mnie tylko nastraszyć.

– Czemu mieliby to robić?

– Żebym siedział z głębą na kłódkę i nic nie gadał. Było tak, od kiedy pamiętam. Zawsze się kogoś straszyle.

– Ale ty już nie masz nic więcej do powiedzenia, prawda? Przecież powiedziałaś już, co mogłeś...

– No niby tak. O co ci chodzi? Też masz jakiś problem z tym, żeby tu zostać, czy co? Wiesz, że wystarczy jedno twoje słowo, a...

– Nie mam żadnego problemu. W ogóle nie o to chodzi. Po prostu to, co mówisz...

– Co?

– Nie sądzę, żeby ktoś chciał cię straszyle, żebyś siedział cicho. Boję się, że będą chcieli się odegrać, że zeznawales przeciwko nim.

– Miałem siedzieć cicho i tkwić za kratami piętnaście lat? O to ci chodzi?

– Nie, oczywiście, że nie... Postąpiłeś słusznie. Ja... Ja się tylko martwię. Kamila też... Możesz tego nie widzieć, ale ona też się martwi. Mogę jakoś pomóc ci z tą sprawą?

– Nie, sam muszę to załatwić. Wystarczy, że pogadam z kimś, wszystko wytłumaczę i jeszcze przeproszę mnie za tę

groźbę, zobaczysz. O to poszło? – zapytał, wskazując głową na pokój, do którego udała się Kamila.

– Przecież wiesz...

– Jeśli chcesz, mogę pojechać gdzie indziej. Naprawdę. Nie chcę, żebyś miał przeze mnie przesraną atmosferę w domu. Żebyście kłócili się teraz o mnie dzień w dzień. Mam jeszcze paru znajomych, u których mógłbym się przez jakiś czas przekimnąć.

– Chcę, żebyś został. Naprawdę.

– Starszy brat chce mieć na mnie oko, co?

– Jak zawsze. Nic się w tej materii nie zmieniło. Kamila chyba bardziej przejmuję się tym, że zaraz wrócisz do starych znajomych i starych nawyków – odparł, zaglądając do pustego kubka. – I że nasz syn będzie to wszystko obserwował. Możesz zostać dziś w domu? Nigdzie nie iść? Chociaż jeden dzień posiedzieć tu z nami, z dala od tamtych?

– Nie chodzi o to, ja tylko...

– Jeden dzień, Marek. Jeden cholerny dzień... Chciałbym, żebyś poznał lepiej Maćka. Chłopak ucieszył się, że w końcu zobaczy wujka, zna cię tylko z opowieści. Kamila nie ma rodzeństwa. Oprócz nas i matki Kamili jesteś dla niego jedyną rodziną...

– Jak dużo o mnie wie?

– Tylko tyle, że trafiłeś do więzienia, jak był jeszcze bardzo mały. Staramy się go trzymać z dala od takich tematów, wiesz, przestępstw, przemocy...

– To w ogóle możliwe? Przecież świat jest tym przesiąknięty.

– Robimy, co możemy, nie ma jakiejś instrukcji, jak być rodzicem. Młody i tak wszystko odkryje sam, w swoim czasie. Tak jak my. – Spojrzał bratu w oczy. – Nie idź dzisiaj nigdzie. Jutro załatwisz to, co masz załatwić. Świat się nie zawali w jedną noc. Co powiesz na wieczór jak za dawnych czasów? Piwo i gry?

– Brzmi niezłe... Tylko naprawdę myślę, że powinienem najpierw załatwić...

– Skoczysz do sklepu? – wciął się Paweł, dając jasny sygnał, że nie chce więcej o tym słyszeć. – Ja będę musiał porozmawiać z Kamilą. – Sięgnął po portfel do tylnej kieszeni spodni i rzucił na stół zmięty banknot pięćdziesięciozłotowy.

– Mogę iść...

– Spytaj Maćka, czy czegoś nie chce. Powinien być w swoim pokoju.

Marek zapukał w drzwi do pokoju chłopaka, po czym, nie słysząc zaproszenia, wszedł do środka. Rozejrzał się po pustym pomieszczeniu, próbował z wystroju wyrobić sobie jakąś ogólną charakterystykę lokatora. Wszystko wskazywało na to, że chłopak przechodził właśnie okres fascynacji Avengersami.

Na biurku leżała talia kart, miały szerokie białe krawędzie, idealne do magicznych sztuczek. Gdzieś w kącie walały się piłki do tenisa, Taran podniósł je i zaczął zonglować. Przez chwilę zastanawiał się, jak mogłoby wyglądać jego życie, gdyby za dzieciaka miał taki sam pokój.

Usłyszał, jak coś gruchnęło w szafce nad drzwiami. Głuchy dźwięk, jakby ktoś uderzył głową w deskę. Podszedł bli-

zej, stanął na palcach i pociągnął za niewielkie drzwiczki. Maciek siedział w środku, na głowie miał słuchawki tak duże, że oprócz uszu zasłaniały mu również połowę policzków. Na widok wujka odłożył konsolę na bok i spojrzał na niego tymi swoimi wielkimi oczami.

– Idę do sklepu, młody, chcesz coś słodkiego?

– Nie, wujku, mam wszystko, czego mi potrzeba.

Marek rozejrzał się po wnętrzu pawlacza. Wyglądało, jakby chłopak uwił sobie w środku gniazdo. Siedział na puchowej poduszce, owinięty kocem. Szafka wyglądała na solidną, ale mimo to i tak cudem było, że nie zawałiła się jeszcze pod ciężarem siedmiolatka.

– Nie boisz się, że kiedyś stamtąd zlecisz, razem z szafką?

– Nie, będę wiedział, zanim to nastąpi.

– Niby jak?

– Słucham, jak skrzypi.

– Co? W sensie, że szafka?

– Tak, z każdym miesiącem skrzypi nieco głośniej. – Zaczął się wiercić, próbując zmusić szafkę do zaskrzypienia. – Słyszysz?

– Słyszę... I skrzypienie powie ci, kiedy czas uciekać?

– Tak.

– No dobra, zaufam ci w tej kwestii. Wyglądasz mi na eksperta. Czyli jesteś pewien, że nic nie potrzebujesz?

– Może jakieś chipsy?

– Tak myślałem. Dobra, wezmę ci. Zauważyłem, że masz fajne zabawki. Karty, piłki... Robisz sztuczki?

– Co?

– No wiesz, magiczne...

– Niecee, tata mi to kupuje. Ja wolę to. – Zamachał mu przed oczami konsolą.

– Ja dużo bym dał za takie zabawki w twoim wieku... Chcesz, to cię kiedyś nauczę, znam parę trików. Jak byłem młodszy, pracowałem jako magik.

– W cyrku?

– Nie, niestety nie. Na ulicy. To był dobry sposób, żeby zarobić parę groszy. To jak?

– Co jak?

– Nauczyć cię czegoś?

– Teraz? – Chłopiec spojrział na zapauzowaną grę. Marek szybko rozgryzł, co oznacza ten wyraz twarzy.

– Nie, młody... Nie teraz, kiedy indziej, co?

– W porządku.

– Zamknąć? – zapytał, patrząc na drzwiczki.

– Poproszę.

Wyszedł z domu, wciąż ubrany w to, co dostał z państwowego przydziału. Pomyślał, że równie dobrze mógłby paradować po mieście w więziennym wdzianku. Jeżeli ktoś się na tym zna, a w okolicy wszyscy się znali, bez problemu dostrzeże w nim byłego skazańca.

Wszedł do tego samego osiedlowego sklepiku, do którego chodził jako dziecko. Ich mieszkanie, teraz już sprzedane Bóg wie komu, mieściło się naprzeciwko bloku brata. Paweł chciał mieć oko na ojca, aż do końca...

Kupił, co trzeba, u córki właścicielki, która obsługiwała go lata temu. Wychodząc z siatką pełną objijających się o siebie

szklanych butelek, lekko tylko amortyzowanych znajdującą się w środku paczką chipsów, natknął się na wysokiego, umięśnionego mężczyznę. Łysą czaszkę pokrytą miał bliznami i licznymi tatuażami. Twarz ciosana kamieniem.

– O kurwa, Taran, mordo, jak ja cię dawno nie widziałem! – wykrzyczał mężczyzna, kładąc Markowi dłoń na klatce piersiowej. Zastąpił mu drogę. – Wyszedłeś? Kurwa, nie za szybko coś?

– Też się cieszę, że cię widzę, Słowik – powiedział Marek, niechętnie wypluwając z siebie każde kolejne słowo. – Wyszedłem. Dosłownie trzy godziny temu.

– Dobrze będzie cię mieć znowu w pobliżu, mordo, będę miał dla ciebie jedną robótkę czy dwie. Potrzebny mi ktoś z mózgiem, większość tutejszych chłopaków z myśleniem jest raczej na bakier. Zawsze im powtarzam, że jebnąć komuś też trzeba umieć z głową, a nie tylko z głowy. A potem kończy się wszystko, jak się kończy. Zatrudniłem ostatnio syna Karolaka, to się okazało...

– Słuchaj, Słowik, bo czas mnie goni. Nie produkuj się. Dopiero wyszedłem z mamra i nie mam zamiaru się w nic pakować. Przynajmniej przez jakiś czas.

– Nie no, kurwa, mordo, chyba nie zostawisz przyjaciela w potrzebie, co? Mówię, jedno zadanko, góra dwa. Jeden chłopaczek zalega mi z pieniędzmi.

– To może przestań dawać im na krechę, wtedy nie będziesz potrzebował ludzi od czarnej roboty. Ja z tym kończę. – Spróbował wyminąć stojącego mu na drodze mężczyznę. To było jak próba obejścia muru berlińskiego przed osiemdziesią-

tym dziewiątym. Słowik przycisnął go do ściany sklepu dłonią wielką jak bochen chleba. Butelki zastukały w foliowej torbie.

– Taran, mordo. Czy ja kiedykolwiek odmówiłem ci pomocy?

– Nigdy cię o żadną nie prosiłem – odparł Marek, zaciskając prawą dłoń wokół nadgarstka napierającej na niego ręki.

– Nie musiałeś. Twoja rodzinka ma tu jak u Pana Boga za piecem, Taran. Czy kiedykolwiek ktoś się naprzykrzał twojemu bratu pedałowi i tej jego durnej cipie? Czy młody kiedykolwiek dostał wpierdol, wracając ze szkoły? Ktoś zajebał mu komórkę? Nie? Bo ja tu tego pilnowałem, bo, kurwa, mój przyjaciel Taran siedział w pierdlu i nie potrafił zadbać o najbliższych. – Docisnął Marka do ściany, zabierając mu dech. – Więc jak teraz cię proszę o pomoc, to mi, kurwa, nie odmawiaj.

– Mówiłeś, że masz robotę? O co chodzi...? – wycharczał Taran.

Słowik poluzował nacisk i zrobił krok do tyłu. Uśmiechnął się. Kochał to uczucie, gdy nawet dorośli srają pod siebie, jak tylko zaznają trochę przemocy fizycznej. Nigdy nie rozumiał, czemu faceci myślą, że po zakończeniu szkoły nie grozi im już oberwanie w pysk. „Załatwmy to jak dorośli” w rozumieniu wielu oznaczało rozmowę i dogadanie się, jakby przemoc fizyczna była tylko domeną dzieci.

Słowik wiedział, że nigdy nie jest się za starym na to, żeby dostać w mordę.

– Chłopczek Wagnerów nie zapłacił za dostawę – odparł po chwili.

– Ile wziął?

– Dwa gramy. Białego.

– Czekaj, Wagnerów? Syn tego gliniarza?

– No ta, to problem?

– Pewnie, że problem. Opisze mnie staremu, jeśli tylko włos mu z głowy spadnie.

– Ten mały chujek myśli, że jak jest synem psa, to mu wolno więcej. Rozumiesz, że tak być nie może? Nie chcę przecież, żebyś nachodził go w chałupie i wpraszał się na rodzinną kolację. Wystarczy, że poczekaś, aż odłączy się od kumpli, jak będzie wracał z licka. Małe chujki potrafią kończyć zajęcia nawet po szesnastej, jak już się robi ciemno. Nie pozna cię. Albo jeszcze lepiej, spuścisz mu wpierdol przy kolegach, to da jeszcze lepszy efekt.

– Za ile?

– Widzę, że moje nauki zawsze w tobie żywe. Przyjaźń przyjaźnią, ale zielone ma się zgadzać. Płacę pięć stów, bo robótka banalna.

– Jakby była banalna, to zleciłbyś ją jednemu ze swoich chłopców.

– Mówilem ci już, że potrzebuję kogoś, kto potrafi pomyśleć. Jak wyślę któregoś ze swoich, to na bank zrobią mu kuku tak, że młody zapamięta ich facjatę, a nie chcę tracić ludzi.

– Mnie długo tu nie było, więc jeśli wrócę za kratki, to się nic dla ciebie nie zmieni, grunt, że robota wykonana, co?

– Chłopie, przykro mi, że tak o mnie myślisz. Miałem cię za przyjaciela. To załatwisz to czy nie? Bo mnie żuchwa boli, jak za długo muszę gadać...

– Załatwię.

– No i po chuj cała ta rozmowa była, co? – Szturchnął Tarana w ramię z taką siłą, że omal nie wybił mu barku. – Chcę mieć kasę od chłopaka do poniedziałku, przekaż mu to w odpowiedni sposób. Ty swoją dolę dostaniesz z tego, co mi odda. – Poklepał Tarana po plecach. – To jak biznesy za nami, to ten... Jak było w pierdłu? Ty nie dostałeś przypadkiem piętnastaka? O ile mnie pamięć nie myli, to zgarnęli cię ledwie kilka latek temu. Sprzęgliłeś czy ki chuj?

– Nie.

– To czemu wyszedłeś wcześniej?

– Dobre sprawowanie.

– Nie pierdol mi tu, Taran. Jak dowiem się, że jesteś umoczony, to nie chcę cię na oczy widzieć. Ludzie, z którymi się wozileś do tej pory, nie są zbyt wyrozumiali dla tych, co trzymają ze sprzedawczykami. Na rewirze będziesz jak trędowaty, wiesz o tym?

– Mogę już iść? Brat czeka. – Marek zamachał torbą pełną piw.

– Wymieńmy się numerami.

– To nowy telefon, nie znam. – Zamachał w powietrzu komórką brata.

– To wpiszę ci swój. – Słowik wyrwał mu urządzenie z dłoni i kliknął numer.

– To wszystko? Teraz już mnie puścisz?

– Idź, tylko załatw to, o czym mówiliśmy. Jutro. Dzieciak kończy lekcje przed szesnastą. – Wyjął z kieszeni własny telefon, chwilę czegoś poszukał, po czym zamachał Taranowi

przed oczami fotografią chłopaka. – Morda, jakby nigdy w życiu nie dostał w dziąsło, no nie? – Sam zerknął na zdjęcie. – Jego ojciec sporo mi krwi w życiu napsuł, ale starego Wagnera każdy z chłopaków tutaj szanuje. Stary gra fair. Pomyśleć, że z jego syna taka pizda wyrosła... Tak czy owak, zdjęcie zrobiono dziś rano, to z jego profilu na Instagramie. Pierdolnął sobie selfie w szkolnym kiblu. Przyjrzyj się dobrze, żeby nie było pomyłek. Staram się mieć dobrą reputację wśród lokalnej młodzieży. To praktycznie cała moja klientela.

Taran patrzył na zdjęcie i zastanawiał się, czy wykonanie roboty jest jedyną możliwością uzyskania spokoju w tym miejscu. Zazwyczaj po jednym zadaniu dostawało się kolejne, i tak bez końca, tak długo, aż nie trafisz za kratki albo nie wyjedziesz z miasta, na co też trzeba było dostać pozwolenie.

Musiał pogadać z bratem. Czas zwijać żagle.